

MAREK ZIRK-SADOWSKI

### **Profesor Ija Lazari-Pawłowska – wspomnienie**

Mam same dobre wspomnienia związane z Panią Profesor. Spotkało mnie dzięki Niej wiele dobrych rzeczy, a wśród nich – co najważniejsze – wiele dobrych spotkań. Najbardziej ceniłem w Niej niewiarygodną zdolność gromadzenia wokół siebie ludzi i dawanie im szansy na spotkanie. Była to dla mnie jedna z Jej najpiękniejszych cech.

Kiedy czytałem listę uczestników dzisiejszego spotkania, którą dostałem przez Internet, to pomyślałem, że Pani Profesor w dużej części jakoś ją ułożyła, stworzyła wokół siebie zbiór ludzi oryginalnych i nietuzinkowych. Wszyscy wyraźnie „uniwersyteccy”, ale nie z typową „profesorskością” i skłonnością do konceptualizacji wszystkiego. Myślę, że przynajmniej w pewnym okresie takie „gromadzenie ludzi” było misją, którą profesor Lazari w sobie odczuwała.

Poznałem Ją w roku 1972. Chodziłem na wykład z etyki, ale muszę powiedzieć, że nie byłem nim zachwycony, a to dlatego, że przyszedłem tam jako prawnik szukający wiedzy filozoficznej, przesycony wykładami na przykład profesora Wróblewskiego i myśleniem w jakimś metajęzyku, zwanym przez niektórych teorią. Wykład z etyki to było pierwsze zderzenie z zupełnie innym podejściem i dopiero później, kiedy przychodziłem na seminaria i kiedy spotkałem Panią Profesor już zupełnie prywatnie, dopiero wtedy wszystko „zeszło się w całość”. Początkowo, z perspektywy wykładu kursowego, to mi nie odpowiadało, ale przez osobiste kontakty rozumiałem, że dąży do tego, aby połączyć życie codzienne i refleksję etyczną. Zaznaczam, że wykłady były bardzo interesujące, ale więcej o Jej poglądach dowiedziałem się z naszych rozmów. Mieliśmy okazję do wielu rozmów, bo nawet podróżowaliśmy razem.

Uważam, że profesor Lazari miała trzy okresy w swojej twórczości. Po pierwsze, okres lwowsko-warszawski – wtedy, kiedy była pod urokiem Kotarbińskich. Wielki wpływ osobisty, zawsze mówiła, miał na Nią prof. Kotarbiński, jego poglądy, ale też osobowość. Słuchając wykładów o tolerancji, zauważyłem sporo odniesień do prof. Kotarbińskiego. Miałem też wrażenie, że zawsze była pod wpływem Bubera, to była postać personalizmu, która najbardziej Jej odpowiadała. Drugi okres to był czas, który nazywam „aśramowym”. Nastąpił, kiedy prof. Pawłowska pojechała do Indii. Była to wówczas niewiarygodna rzadkość i uznawaliśmy Ją za wielką podróżniczkę.

Przy okazji tych wyjazdów służbowych, które bardzo ceniła, jak zresztą całe ówczesne pokolenie akademickie, była głodna spotkań z ludźmi. Moim zdaniem był to człowiek w kontaktach osobistych niewiarygodnie energetyczny, trzeba tu wspomnieć o Jej zaangażowaniu, o prowadzeniu korespondencji. Miała potworną energię do spotkań z ludźmi, to było coś, co mnie zawsze zdumiewało. Może dlatego uważała, że należy być tak bardzo tolerancyjnym dla ludzi. To jest sprawa, która

mnie też zadziwiała, wspieranie tolerancją chęci kontaktów z ludźmi, możliwość obdarzania ich swoją energią.

Muszę powiedzieć, że w naszej przyjaźni – bo chyba tak mogę nazwać nasze kontakty, które zaczęły się w 1972 roku – okres „aśramowy”, szczerze mówiąc, nie za bardzo mnie zainteresował, jego zagadnieniom były poświęcone wykłady, o których już wspomniałem. Z mojego punktu widzenia znakomity był trzeci okres, który nazywam „schweitzerowskim”. Oferta areligijnej koncepcji wszechrzeczy i czci dla życia była bardzo interesująca i jej poznanie wprowadziło mnie do świata schweitzerowców. Pojechałem kiedyś z Panią Profesor na ich spotkanie, na które Ona regularnie jeździła. Nazywały się one *Johannes Treffen* i odbywały niedaleko alzackiego Colmar, w miejscowości Gunsbach, gdzie mieści się rodzinny dom Schweitzera. W czasie tego spotkania poznałem całe środowisko schweitzerowców i było to bardzo interesujące przeżycie. Po powrocie kontynuowałem z nimi kontakty, zresztą Pani Profesor była do końca życia bardzo silnie związana z tym ruchem, bo potem w latach osiemdziesiątych włączyła go do swojej wielkiej pracy charytatywnej, którą prowadziła w stanie wojennym. Wielu z nas dzięki Jej staraniom otrzymywało w tym czasie paczki z pomocą. Pamiętam taką paczkę od rodziny niemieckiej, której w rewanżu wysłałem kolekcję płyt Szymanowskiego. Oni mi odpisali, że bardzo kochają muzykę, ale ta jest dla nich bardzo trudna.

Już po stanie wojennym Pani Profesor nadal prowadziła działalność wspierającą różnych ludzi i sporo tych działań było prowadzonych pod egidą ruchu schweitzerowskiego. Były to zawsze z Jej strony działania oparte na spotkaniu osobistym z jakąś osobą. Stroniła od działań bezosobowych. Pamiętam pewną panią ze Świnoujścia, która miała strasznie chore i niepełnosprawne dziecko i cała ta grupa schweitzerowska załatwiała dla tego dziecka bardzo drogą operację, ale te działania były spontaniczne.

W naszych rozmowach, do których było wiele okazji, była bardzo szczerą i otwartą. Często głosiła o sobie opinie, które kompletnie mnie zaskakiwały, które ludzie o sobie rzadko wypowiadają wobec innych. Na przykład podkreślała, że Jej wielkim problemem jest to, że nie jest dobra, że stara się o to jakoś walczyć. Muszę powiedzieć, że bardzo mnie to mile zaskoczyło, bo ja to samo myślałem o sobie, a jednak Jej działania wspierające innych, Jej wielowymiarowość osobowości i zdolność do empatii dawały pocieszenie, że skoro nawet tacy są „niedobrzy”, to nie jest z tymi „złymi” tak źle.

Oczywiście, Pani Profesor raczej chciała powiedzieć, że nie jest odruchowo dobra, że musi nad sobą pracować, czuć, wydobywać z siebie dobro. Pamiętam, że byłem tym bardzo zaszokowany, ale było to dla mnie bardzo ładne, że wyżej ceni spontaniczną dobroć, rodzaj świętości. Miała wobec siebie pewne zarzuty, ale myślę, że odnoszące się do przeszłości, z takiego okresu zwykłego dojrzenia moralnego, który wszyscy przeżywamy. Ale w tych krytycznych ocenach przejawiała się też autentyczna skromność.

Politycznie była bardzo ostrożna, bo uważała, że zdarzały się Jej bardzo niebezpieczne rzeczy. Mówiła mi o przesłuchaniach w 1968 roku, które Ją bardzo dużo kosztowały.

Miałem często takie wrażenie, że wiele rzeczy, które później robiła, było jakoś związanych ze stopniowym „uczeniem się” dobra, niepoddawaniem się nienawiści nawet w skrajnych sytuacjach. Bardzo mi to imponowało.

Była osobą całe życie zmagającą się ze swoimi właściwościami. Nie ukrywała tego, że ma różne wady i bardzo mi się to wydawało piękne. Poza tym wielce ceniła sobie przyjaźń, była to dla Niej bardzo ważna wartość. Bolała nad tym, jeśli ktoś Ją odrzucał, to się czuło. Tłumaczyła mi przyjaźń zawsze przez Kotarbińskiego, mówiła, że nie jest to kwestia liczby spotkań, tylko pewnego zadzierzgnięcia, pewnej więzi osobowej, która była dla niej istotna. Ważne było szukanie czegoś wspólnego, spotkanie kogoś, kto ma coś wspólnego z Nią.

W koncepcji czynienia dobra była zwolennikiem raczej etyki sytuacyjnej, nie była moralizatorem w poważnym tego słowa znaczeniu, chociaż pewne wartości opracowywała po to, żeby zastanowić się nad aplikowaniem norm w sytuacjach krańcowych.

Tak przypomina mi się obraz osoby, ale wspominam często, znane wszystkim, spotkania towarzyskie, które przygotowywała w swoim domu. W tamtych czasach to było coś niezwykłego, że profesor i jego rodzina zapraszają prywatnie studentów, asystentów, że dyskutują z nimi. Odczuwaliśmy to nawet jako pewien akt odwagi.

W czasie tych spotkań poznałem wielu ludzi, z którymi się zaprzyjaźniłem. Pani Profesor nie oddzielała od tych spotkań swojej prywatności i życia rodzinnego. Owo gromadzenie ludzi było między innymi dlatego tak miłe, że całe Jej mieszkanie było do naszej dyspozycji. Rozmowy miały również walor towarzyski. W tym wymiarze Pani Profesor też potrafiła zaskoczyć swoimi przemyśleniami. Na przykład nie była zwolenniczką skrajnej szczerości w małżeństwie, naruszającej prywatność współmałżonka. Powtarzała za Schweitzerem, że dusza ma prawo do swojego wstydu czy raczej swojej wstydlivości. Bardzo mi się to spodobało.

Jej skłonność do ludzi rodziła wiele kontaktów. Znała ludzi niewiarygodnych, na przykład profesora Hansa Alberta. Dostawała wiele książek od osób, które poznawała. Mieliśmy do nich dostęp i my. W tamtych czasach to też było rzadkie. Wielu profesorów miało wielkie ukryte biblioteki zagranicznych książek, one były źródłem swoistej przewagi naukowej. Dziwiliśmy się, skąd tyle w ich pracach cytatów z zachodnich książek. Pani Profesor takiej przewagi nie wykorzystywała, dzieliła się zawsze tym, co miała.

W swej dobroci i otwartości była też praktyczna. Nie była zaślepioną idealistką. Pomagała ludziom, ale lubiła, gdy ta pomoc miała jakiś praktyczny wymiar, realny sens dla tych, którym pomagała. Sama była też bardzo praktyczna, zauważyłem, że

była na przykład w mądry sposób oszczędna. Widzę Ją jako osobę dobrą, ale bardzo konkretną. Nie mam skłonności do jakiegos rodzaju Jej beatyfikacji.

Chciałbym natomiast wspomnieć okres Jej umierania, bo to jest rzeczywiście czasami egzamin końcowy. Jeżeli się uważa, że umieranie jest częścią naszego życia i rozwoju, to jest ono ważnym momentem, szczególnie jeśli się umiera na ciężką i długą chorobę, i cierpi się. Znam kilka osób, które podziwiam, które są dla mnie wzorami w tym wymiarze, choć mam nadzieję, że sam nie będę takiej próbie poddawany. Właśnie Pani Profesor zaimponowała mi swoją siłą duchową w tym czasie. Dzwoniła do mnie wielokrotnie, kiedy umierała w oddziale-hospicjum Szpitala Kopernika. Dzwoniła do mnie, bo tam był telefon i słyszałem jej straszną walkę o każdy oddech. W zasadzie w ogóle nie mówiła o sobie, cały czas prosiła mnie o pomoc dla jej najbliższych, ponieważ umierała w koszarnej sytuacji życiowej. Ta osoba praktyczna, która wszystkim chciała pomagać, nagle zobaczyła, że Jej najbliżsi są w ciężkiej sytuacji, że mogą sobie nie dać rady, a Ona nie może im pomóc. Bardzo przez to cierpiała. Potem nie miałem już okazji do rozmowy, bo wyjechałem na jakieś krótkie stypendium i po powrocie dowiedziałem się, że zmarła. Na szczęście mogłem uczestniczyć w Jej pogrzebie.

W moim wspomnieniu pozostała bardzo koherentna, to znaczy te cechy z wykładu, z seminarium i również Jej sposób przeżywania kontaktów z ludźmi i swojego własnego życia - na koniec tworzyły w Niej całość.

Bardzo sobie cenię spotkanie na mojej drodze życiowej Profesor Lazari, bo niezależnie od spotkania z Jej wielką wiedzą, miało ono na mnie duży wpływ właśnie w wymiarze codziennego poszukiwania dobra jako przede wszystkim działania praktycznego.

M A R E K C Z Y Ż E W S K I

Instytut Socjologii, Uniwersytet Łódzki

Z Panią Profesor zetknąłem się w wieku 5 lat. Kontakt nasz był dosyć intensywny wtedy, gdy byłem w liceum i na pierwszych latach studiów. Muszę tu dodać, że z biegiem lat coraz bardziej podziwiam Ją za to, że poświęcała tak dużo czasu na rozmowy z kimś takim jak ja, a wiem, że na podobne rozmowy zapraszała także wiele innych młodych osób. Nigdy nie dała mi odczuć oczywistego intelektualnego dystansu, jaki nas dzielił, traktując poważnie moje adolescentne wywody. Nie sygnalizowała też w żaden sposób, że traci czas, który mogłaby przeznaczyć na inne, ważniejsze zajęcia, których jej przecież nie brakowało. W obliczu dzisiejszych uwarunkowań życia uniwersyteckiego ten wzór postępowania wydaje mi się wręcz niewyobrażalny. W latach późniejszych z kolei nasz kontakt był już słabszy, z pewnością z uwagi na moje nowe miejsce zamieszkania (przedtem byliśmy sąsiadami), ale zapewne też